Rok 1. Wrzesień 1929 r. Nr. 3.

DZIEWANNA

MIESIĘCZNIK

WYDAWANY STARANIEM UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM MĘSKIEGO W MIELCU

***
**
*

Każdy pracuje na swoim zagonie dla wszystkich, każdy ma słowo do powiedzenia i czyn do spełnienia.

I. J. Kraszewski.

M I E L E C

Cena numeru 40 gr.

Z DRUKARNI J. PISZA W TARNOWIE POD ZARZĄDEM ST. STAROSTKI

2818
II
2600
II

Paganini.

Twarz krogulczonosa, powleczona woskiem,
usta współrozwarte w łuk pobladłych linij —
długie, białe ręce w zudumieniu boskiem
struny skrzypiec rwą: Niccolo Paganini.

Chwieje się i słania sennie, jak lunatyk,
i hypnotyzuje dzwonnym flażoletem,
brzmień melodyjnością, kołyszącą światy —
W tem uderzy smyczkiem w serce — jak sztyletem —

i się rozszaleje, jak burz zły huragan
i tnie skrzypce smyczek, w którym drga krwi strumień,
bije w struny wściekle, szarpie, rwie i smaga
duszę, wczarowaną w skrzypiec śpiewną trumnę —

Z pod powieki płyną łez stwardniałe szkiełka,
łka mu pieśń udręki drzewo skrzypiec z Kremon —
Świece już pogasły. Koniec. Po jasełkach.
— Zlecam się publice, ja — mistrz, estrad demon!

Stanisław Kryczyński.

Biblioteka Jagiellońska

Stanisław Kryczyński (Lwów).

Słowo o regjonaliźmie.

Słowo stosunkowo nowe, pachnące świeżo, ożywczo. Regjonalizm — to prąd kulturalny, mający na celu podtrzymywanie cech wyodrębniających poszczególne krainy (regjony — okolice) etnograficzne, oraz popieranie twórczości ludowej, jako źródła nowych idei artystycznych w sztuce i literaturze. Regjonalizm, wprowadzony w życie, przedstawia ogromne, nieprzemijające wartości społeczne, oświatowo-dydaktyczne, naukowe i artystyczne.

Proszę nie myśleć, że regjonalizm to chwalba zaściankowego, partykularnego kołtuństwa, lub propaganda separatyzmu! Wręcz przeciwnie: poprzez poznanie kultury okolicy rodzinnej — do zrozumienia całokształtu cywilizacji ludzkiej; przez ukochanie gramadz-

kiego zagona — do umiłowania ojczyzny i ludzkości. „Niebo nad moją Florencją rozpostarte, ogarnia wszechświat" — oto jak prosto a pięknie wyraża tę myśl Michał Anioł Buonarotti.

Idea regjonalistyczna, szerząca się szybko w dzisiejszej Polsce, znajduje oddźwięk w sercach ludzi mądrych i wielkodusznych, w poezji podhalańskiej, beskidzkiej i śląskiej, a najpełniejszym tej idei wyrazem są muzea regjonalne, w których soczewkuje się cała działalność regjonalistów.

Na pytanie, jakie znaczenie posiada organizowanie takich muzeów, odpawiada pięknie L. Skoczylas [1]): „Muzeum regjonalistyczne ma... za zadanie wiązać kulturę ogólną z kulturą lokalną, ma ilustrować wszechstronnie życie kulturalne pewnej okolicy, aby wykazać, jak pozornie skromna twórczość lokalna może być podniesiona do wyżyn twórczości europejskiej, jak wreszcie ona właśnie wzbogaca kulturę świata".

Na Zachodzie wagę idei muzeów regjonalnych zrozumiano już dość wcześnie. Z zapałem szerzyli ją: Groult, twórca muzeów kantonalnych (les Musèes cantonaux) we Francji, Max Elskamp, poeta belgijski, założyciel wzorowego muzeum regjonalnego w Belgji i wielu innych. W Polsce jednym z pierwszych pionierów ruchu regjonalistycznego na Podhalu był Wł. Matlakowski, inicjator muzeum góralskiego w Zakopanem.

Co się składa na muzeum regjonalne? „Przewodnik Oświatowy" [2]) podaje w jednym z zeszytów wykaz przedmiotów, które znalazły w takiem muzeum miejsce. Są to:

1. Modele, rysunki i fotografje kościołów, cerkwi i bożnic drewnianych i takichże dzwonnic, kapliczek, chat, spichlerzy, młynów, tartaków, foluszów i t. d.

2. Okazy, modele, rysunki i fotografje sprzętów, jak skrzyń, łóżek, kołysek, stołów, stołków, ław, półek, szafek na naczynia, sąsieków i t. d., obrazy malowane na szkle, drewnie lub płótnie, zamki, kłódki i t. p.

3. Okazy, rysunki i fotografje naczyń, garnków, misek, dzbanków, cebrzyków, konewek, beczek, łyżek, noży, nożyków, czerpaków, stępek, kaganków, lichtarzy i t. p.

4. Okazy, modele, rysunki i fotografje narzędzi rzemieślniczych i rolniczych, a więc: kądziele, kołowrotki, międlnice, cierplice, warsztaty tkackie, garncarskie, kuśnierskie, pługi, brony, żarna, łopaty,

---

[1]) Ludwik Skoczylas: „Jak zorganizować Muzea regjonalistyczne". Gazeta Warszawska z dnia 15 lipca 1928 r.

[2]) Nr. 6—7, r. 1926. Art. J. Soplicy: „Społeczeństwo a zbiory etnograficzne".

widły, biczyska, uprząż na konie i jarzma na woły, wozy, sanie, stępy, przyrządy do wytłaczania oleju i t. p.

5. Okazy, rysunki i fotografje strojów codziennych i świątecznych, letnich i zimowych, dziecięcych, męskich i kobiecych.

6. Okazy, rysunki i fotografje przedmiotów, służących do ozdoby mieszkania i ubrania, np. różnych „światów" z opłatów, pająków ze słomy, ptaków z jaj lub makówek, wycinanek z papieru, pierścieni, szpilek, spinek, krzyżyków, medalików, lasek, tabakierek, bukietów i t. p.

7. Okazy, rysunki i fotografje przedmiotów, związanych z uroczystościami, jak: szopki, gwiazdy, turonie, kozy, podłaźniki, ogródki czyli wózki wielkanocne, wieńce dożynkowe, wiązki ziela święconego, palmy, różdżki weselne, kołacze, korowaje, pisanki wielkanocne i t. p.

8. Instrumenta muzyczne: więc piszczałki, różne trąby i trąbity, skrzynki własnego wyrobu, liry, kobzy, rogi, gwizdawki gliniane itp.

9. Laski czyli kule wójtowskie, laski z karbami (na karbach liczą kopy, zwożone z pola do stodoły i t. p.), oznaki cechowe (cechy), przezmiany i t. p.

10. Zabawki dziecięce: piłki, grzechotki i różne inne, wymyślane lub używane przez dzieci.

11. Wreszcie wszelkie inne przedmioty, których tutaj nie wymieniono, a których lud używa lub używał, czy to przy pracy, czy przy zabawie.

12. Rękopisy ze zbiorami pieśni ludowych, zagadek, przysłów, bajek, podań, legend, baśni, z opisami wesel, chrzcin i pogrzebów, dożynków i innych obyczajów ludowych. Fotografje ludu przy pracy i zabawie, fotografje uroczystości ludowych i t. p.

Naturalnie — muzeum regjonalne, oprócz etnograficznego, może mieć jeszcze inne działy, jak to było np. na wystawie regjonalnej województwa wileńskiego, zorganizowanej w r. 1928 w Wilnie, na której urządzono także działy: drukarstwa wileńskiego, szkolnictwa, administracji państwowej i t. d. [1])

Taką rzecz można by i u nas zorganizować, tylko trochę dobrej woli i energji! No, i nie trzeba tak panicznie bać się słowa „muzeum", nie trzeba zaraz wyobrażać sobie muzealnych mumij, martwoty, kurzu i stęchlizny! Proszę czytać, co pisał o tych muzeach regjonalnych człowiek o sercu tętniącem życiem nawskroś współczesnem, człowiek, który rzucił myśl założenia takiego muzeum w Nałęczowie — Stefan Żeromski!

.....Takich muzeów we Francji jest już 144...

---

[1]) A. Chętnik: „Z ruchu regjonalnego na Wileńszczyźnie". („Oświata Polski", Nr. 4, r. 1928).

...Mają kolosalną doniosłość pod względem oświaty ludu...
...Trzeba tylko zacząć...
...Muzeum nowego typu może zastępować dla chłopca i człowieka mało ukształconego pewien zakres wykształcenia uniwersyteckiego...
...Jest to... jeden ze środków do zdecentralizowania nauki, skupionej po wielkich miastach. Życie po wsiach rozwija się pod względem ekonomicznym i społecznym nadzwyczajnie słabo... Trzeba tedy rozniecać takie ogniska cywilizacji prawdziwej..." [1]).

To pisze nie jakiś zasuszony mól muzealny, ale poeta o duszy wspaniałej, pełnej niespokojnych tęsknot i porywów. Należy się więc tylko zastanowić nad tą sprawą, należy pomyśleć o idei regjonalizmu, jako o rzeczy żywej, pulsującej potężnym oddechem narodu. I jeszcze jedno: trzeba stworzyć w Mielcu muzeum powiatowe!

Kundzia VIIa.

Obóz Zlotu harcerskiego w Poznaniu.

Dnia 11 lipca zaroił się teren położony na północ od Poznania między Wartą a Cybiną. Od samego rana zajeżdżały tu duże konne platformy i samochody ciężarowe naładowane pakunkami różnego rodzaju. Ulice miasta dźwięczały od odgłosów trąb i wesołych pieśni, maszerujących na „Zlot" drużyn harcerskich. Każda drużyna, osiągnąwszy cel marszu, zajmowała miejsce z góry już wyznaczone i zabierała się do pracy nad urządzaniem swojego obozu. Praca postępowała naprzód z błyskawiczną szybkością. W miejscu, gdzie przed kilkoma godzinami znajdowały się doły, wyboje, stosy rozmaitych gruzów wywożonych z miasta, gdzie w najlepsze wszelkiego gatunku osty rozwijały swe pędy, stanęło przepiękne miasto namiotów, mieszczące w sobie 6500 harcerzy nietylko z Polski, lecz także z poza jej granic, jak z Francji, Niemiec, Litwy, Łotwy, Finlandii i Rosji. W powietrzu spokojnie łopotały proporce, wywieszone na wysokich masztach. Cały ten obóz, jak już wspomniałem, był podobny do dość dużego miasta, zaopatrzonego w elektryczność i wodociągi, których rury biegły wzdłuż głównej ulicy, nazwanej imieniem ks. Lutosławskiego. Ulica ta odznaczała się wielkim ruchem, prawdziwie wielkomiejskim. Bokami snuły się nieprzerwane tłumy publiczności, z gwarem której mieszał się dźwięk sygnałów samochodowych i motocyklowych. U wejścia ulicy od strony Pozna-

---

[1]) Art. P. K.: „St. Żeromski o muzeach rodzinnych" w „Przeglądzie Oświatowym" (Nr. 1. r. 1928).

nia wznosiła się wielka, okazała brama, gdzie dniem i nocą stała warta, złożona z harcerzy. Schroniskiem wartowników był namiot „Wartowni". W nim to brać harcerska oddawała się błogiemu odpoczynkowi po długich, wyczerpujących godzinach służby, lub czekała na jej objęcie. Naprzeciw „Wartowni", po drugiej stronie ulicy, znajdowała się „Gospoda" (duży czworoboczny namiot), będąca miejscem odpoczynku zmęczonych, zwiedzających obóz gości. Sąsiedni namiot — to „Biuro informacyjne", do którego udawał się każdy, kto pragnął jakichkolwiek informacyj o Zlocie. Po lewej stronie ulicy, na wysokości „Biura", pomieszczono „Urząd pocztowy" z dh. podharcmistrzem Piechaczkiem na czele. Namiot ten mieścił także w sobie centralę telefoniczną, oraz biuro zwiedzania „Pewuki" i Poznania.

Na szczególną uwagę zasługiwała jeszcze kapliczka obozowa, zbudowana z desek przez harcerzy Chorągwi Krakowskiej. To maleńkie arcydzieło przypominało przydrożne kapliczki na Białej Rusi.

W środku obozu rzucała się zdaleka w oczy „Centralna Komisja Dostaw Harcerskich", znana ogółowi harcerzy pod nazwą C. K. D. H. Tam można się było zaopatrzyć we wszystko, czego tylko zapragnęła dusza harcerska, z wyjątkiem artykułów spożywczych, w które zaopatrywały się drużyny w „Kiosku" nad Cybiną.

Pozatem każda drużyna mieściła się w swoich namiotach, urządzając je stosownie do swoich celów. Mielecka drużyna posiadała trzy namioty dziesięcioosobowe, w których rozbijaniu stanęła do zawodów i uzyskała czwarte miejsce, biorąc pod uwagę cały Zlot.

Na jednym namiocie widniał „artystycznie" wykonany herb Mielca — to namiot komendy. Pozostałe namioty miały do użytku dwa zastępy: „Jelenie" i „Świstaki". Przyszło nawet do rywalizacji między temi zastępami co do wewnętrznego urządzenia. Naturalnie były tu góra „Jelenie", których „komfortowe" urządzenie namiotu ściągało wielu gości, a szczególnie harcerek, ku wielkiemu zadowoleniu zastępcy zastępowego.

Życie obozowe odznaczało się nadzwyczajną ruchliwością i wesołością. Wszędzie wrzała nieustanna praca, której z zapałem oddawali się harcerze.

Wspólne ogniska ze śpiewami i muzyką orkiestr umilały wieczorne godziny.

St. Rossowski (VII).

Śląsk i Ślązacy.

(Dokończenie).

Gdy Rzeczpospolita utraciła swój byt państwowy z końcem XVIII w., pod jarzmo pruskie dostała się także Wielkopolska i Pomorze na wspólną ze Śląskiem walkę i niedolę. Przez półtora wieku trwał tam ciężki ucisk germanizacyjny we wszystkcih dziedzinach życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Położenie Śląska było tem rozpaczliwsze, że tam już przez sześć wieków ciągnęła się zależność od obcego rządu. Cudem chyba dałoby się uniknąć wpływu niemczyzny. To też uległa mu znaczna część Śląska. Wiele zdziałała pod tym względem reformacja. Śląsk, który przyjął luteranizm, tracił tem samem związek z katolicką macierzą-Polską. Najwcześniej uległa wynarodowieniu ta część kraju, gdzie leży bohaterski Głogów i Lignica; Śląsk Górny Opolski ocalał. Ludność jego zachowała strój narodowy, starodawny obyczaj, właściwości przyrodzone, swoją całkowitą odrębność narodową.

Odrodzenie ducha polskiego przejawiło się żywiej dopiero w połowie XIX w. w czasie pamiętnej „wiosny ludów" 1848 r. i odtąd stale będzie się wzmagać i rozszerzać. Rewolucja wiosenna trwała krótko i celów swoich na razie nie osiągnęła, ale przez serca ludu śląskiego przebiegł prąd ożywczy; odtąd poczęła w nich tętnić zapomniana polskość. A czas był najwyższy. Jeden z pisarzy wspomina, że gdy właśnie w owym promiennym r. 1848 na ziemiach śląskich pojawił się małopolski działacz społeczny, ks. Antoniewicz i po polsku zaczął przemawiać do miejscowej ludności — odpowiedziano mu po niemiecku. Tak wielkie postępy poczyniła w duszach śląskich germanizacja.

Jednym z pierwszych i najwybitniejszych działaczy polskich na Śląsku był Karol Miarka. Jemu to głównie Śląsk zawdzięcza swoje odrodzenie. W ruchu odrodzeniowym wzięła udział znaczna ilość księży, co było nader pomyślnym objawem. Rząd polonizacyjny przybrał na sile po r. 1870, jako reakcja przeciw szalonemu uciskowi germanizacyjnemu ze strony upojonych zwycięstwem w wojnie prusko-francuskiej Niemców. Gdy bowiem zaczęto prześladować język miejscowy i usunięto go ze szkół, gdy wreszcie germanizacja wtargnęła nawet do kościoła dotychczas oszczędzanego, młodzi klerycy śląscy poczuli wtedy w sobie zapał bojowy. Zawiązali więc we Wrocławiu Towarzystwo Górnoślązaków, w którem zaczęli gorliwie uczyć się po polsku, czytać naszych poetów narodowych, przedewszystkiem Mickiewicza. Rozchodząc się zaś na stanowiska w śląskich parafjach, złożyli sobie pożegnalną przysięgę, że będą nietylko ka-

tolikami, ale i Polakami. I przysięgi tej wiernie dotrzymali. Stworzyli polskie piśmiennictwo ludowe, słowem i czynem pociągali najoporniejszych, czego żywym przykładem był K. Miarka. Ten gorliwy później działacz narodowy w 36 roku życia słowa po polsku nie umiał, a szkoła niemiecka wlała w duszę jego pogardę dla żywiołu polskiego. Przypadkiem wpadają mu w ręce dzieła Mickiewicza. Miarka uczy się z nich rodzinnego języka, odczytuje je, — wreszcie następuje w nim cudowne niemal przeobrażenie. Wydaje do ludu śląskiego odezwę, zaczynającą się od słów: „Jezus, Marja, Józef!" — a wzywającą do walki z niemczyzną na śmierć i życie, zakłada pismo „Katolik", stojące pod sztandarem odrodzenia polskości. Więziony i prześladowany przez Niemców, umiera Miarka z niezłomną wiarą w wyzwolenie ojczyzny z pod pruskiej przemocy.

Poeci śląscy wskrzeszali tradycje wolnego i niepodległego bytu, wskazując ludowi pamiątki starodawne polskości, opowiadając przywiązane do nich podania, sławiąc wreszcie wielkość i potęgę Rzeczypospolitej Polskiej. Ks. Damroth w poezjach swoich p. t. „Z niwy śląskiej" pragnie nietylko oswobodzenia i zjednoczenia Polski, ale chce jeszcze, aby stanęła ona na czele wolnych ludów słowiańskich. Franciszek Forys, redaktor pism codziennych, pisze epopeję śląską, wzorowaną na „Panu Tadeuszu", zatytułowaną: „Dzielny ludek", Poemat ten w przedziwny sposób opisuje dawne czasy piastowskie, później opanowanie Śląska przez Niemców i przemianę kraju rolniczego w środowisko fabryczne.

Najwyższym jednak i najbardziej charakterystycznym objawem dla historji odrodzenia kultury polskiej na Śląsku jest działalność społeczna i pisarska kowala-poety, Juljusza Ligonia. Ligoń ześrodkował w sobie wszystko, co dusza śląska dać mogła. Jako dziecię ludu, obejmuje on swoją ziemię najserdeczniejszem ukochaniem, a walcząc ciężko o chleb powszedni, nie zapomina ani na chwilę, że jednak nie samym chlebem żyje człowiek. Jako kowal pracuje dzień cały, a wieczorami w ubogiej swojej chacie kształtuje swego ducha przez czytanie książek i gazet. I osiąga rezultaty wprost niesłychane, pozostawiając po sobie znaczny dorobek literacki; co więcej, wywiera wpływ niezapomniany na swoich współziomków, których uczy jak należy kochać wielką, wspólną ojczyznę, jak dla niej cierpieć i pracować.

Wspaniały rozkwit uświadomienia narodowego na Śląsku uderzy nas tem więcej, gdy się zastanowimy nad stosunkami społecznemi i gospodarczemi, w jakich była zmuszona żyć polska ludność rolnicza na Górnym Śląsku. Uwłaszczenie na Śląsku odbyło się w ten sposób, że chłop stawał się tam właścicielem 2—4 morgów ziemi, a więc małorolnym i uzależnionym od wielkiego obszarnika, którym

był Niemiec (często pochodzenia polskiego, jak np. książęta raciborscy z rodu Piastów, dziś całkowicie zniemczali). Z zysków, wyciśniętych z roli, kupowali obszarnicy niemieccy akcje wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, stąd wielki przemysł niemal całkowicie znalazł się w ręku niemieckiem. We wszystkich trzech regencjach obszary dworskie wynosiły 57% ogólnej rozległości ziemi; 4715 km.^{2} znajdowało się w rękach 54 magnatów niemieckich. Kiedy więc niemieccy magnaci śląscy otaczają się królewskim zbytkiem, utrzymując wspaniałe parki i zwierzyńce, tam na dole — pośród chat polskich wieśniaków małorolnych krzewi się nowe życie, rodzi się lepsza przyszłość. Zachowali oni swoją dawną mowę, taką, jaką mówili pisarze i poeci polscy, jak Kochanowski, ks. Wujek i Krasicki.

Ale chciwość i niemiecka przebiegłość przy plebiscycie 1921 r. oderwała od ziemi macierzystej wielu mieszkańców-Polaków wbrew ich woli. Sfałszowano sztucznym napływem niemieckich emigrantów plebiscyt, a pruskie urzędy gwałtami na ludności polskiej dokonywanemi, zmniejszyły wprawdzie liczbę jej głosów za Polską, ale dążeń wyzwoleńczych nie stłumiły. W 1917 r. zostało założone w Opolu Towarzystwo Oświaty Polskiej im. św. Jacka, które z pożytkiem działa dla przyszłości. W chatach chłopskich budzą się nowe talenty. Włościanin, Jan Kupiec, rzuca w lud rolny górne pieśni o wysokiem napięciu patrjotycznem. Tworzy się silne już dziś liczbą chłopskie stronnictwo śląskie.

Postęp ludzkości w kierunku szeroko pojętego humanitaryzmu międzynarodowego jest powolny lecz stały. To też mimo wszystko zło, które się dokoła nas pleni, słabnie już i niedługo może istnieć przestanie na świecie „panowanie człowieka nad człowiekiem i narodu nad narodem".

Adamus Eugenjusz (kl. VIIa).

Kolejarz.

Nowela.

Zbudziło go dosyć szorstkie szarpnięcie. Nad głową usłyszał głos, budzącej go matki:

— Wstawaj Stasiu!

— Mamo, jeszcze choć chwileczkę. Tak mnie nogi bolą, takim zmęczony...

Jakiś bolesny skurcz ściągnął jej usta, jakaś mgła zasnuła jej oczy na chwilę, ale się przemogła i rzekła łagodnie:

— Spoczniesz wieczorem, a teraz wstawaj i spiesz do obowiązku; to dla twej przyszłości, dla twego dobra.

Chłopak ubierał się, pochlipując. Zjadł szybko śniadanie, zebrał książki i ruszył w drogę.

Cztery kilometry! Drugoklasista nędzny, przygnębiony...

Po głowie snują się myśli smutne, leniwe, niema w nich radości, ni chęci do życia.

O czem myślał?

Był brzask i ten mu przypomniał, jak przed rokiem szedł tą drogą ku stacji kolejowej z matką; jak przy krzyżu przydrożnym ukląknął i wraz z nią modlił się, prosząc Boga o błogosławieństwo w nauce.

O, właśnie tutaj.

Wtedy patrzał nań Chrystus wzrokiem jakimś jasnym, a dziś uśmiech Jego bolesny i zdaje się, że głowa spadła niżej, jakby pod ciężarem smutku i cierpienia.

Wokoło głucha cisza. Martwy całun śniegu wydaje się mu jakiś groźniejszy; nogi, brnące po kolana, odmawiają posłuszeństwa. Piersi dyszą ciężko.

Do głowy cisną się znowu wspomnienia.

Pamięta, jak pierwszy raz w gimnazjum wyśmiewali go koledzy dlatego, że chodził w połatanem ubraniu, a oni mieli nowe, pięknie wyczyszczone i odprasowane.

Pamięta, jak później ojciec (ślepy już wtedy) legł na łożu, złożony niemocą.

Pamięta, jak matka powiedziała mu, że jeżeli chce chodzić do gimnazjum, to musi dojeżdżać. Zgodził się.

Dojeżdża, ale codzień jest bardziej ponury, apatyczny; coraz bardziej zapadają się oczy w głąb i patrzą na świat poważniej i smutniej.

W domu go lubią; nawet mały Józek lgnie do niego i zawsze czeka na swego braciszka u progu; ojciec go kocha, bo jemu zawdzięcza troskliwość i staranie.

Sam nie wiedział, jak wszedł do budynku stacyjnego. Wśród hałasujących kolegów, jeszcze bardziej odbijała jego smutna i zamyślona twarz.

W gimnazjum wszystko przecież poszło dobrze. Czekał więc na pociąg i jadł czarny chleb, który otrzymał w domu, jako jedyny południowy posiłek.

Nadszedł pociąg. Staś, niewiadomo czego, się wzdrygnął.

W drodze powrotnej, zawsze cichy i nieruchawy, był niespokojny, jakby w gorączce chodził od okna do okna.

Wśród miarowego stukotu kół słyszał jakieś dziwne groźby i jęki. Były to może przywidzenia, ale dojeżdżając do stacji, usłyszał wyraźnie: „Śmierć, śmierć".

Szarpnął się przerażony, ale wszystko ucichło.

Pociąg był jeszcze w biegu, gdy stojący za nim na platformie koledzy, którym się spieszyło, przynaglali go do wyskoczenia.

Skok... krzyk... i chrupnięcie miażdżonych kości.

Pod kołami wagonu bezkształtna masa, a na boku głowa z temi oczami, mówiącemi zda się: „Dlaczego to tak, dlaczego?"

Nie było trumny. Złożono szczątki i głowę ot, tak łopatką do worka, a niosący ten ciężar do domu zabitego, znaczył ślad swój krwią, która jeszcze z ciała spływała...

Spoczął nieszczęsny na łożu, ale w innej postaci, bez tego, co mu dawało życie.

Przyszedł nareszcie upragniony spoczynek, tak długi, jak długa jest wieczność.

Już nie będą się z niego naśmiewali; pójdzie wprawdzie do ziemi, do ciemności, ale tam będzie miał spokój, którego tak pragnął.

Nazajutrz wynoszono z domu dwie trumny.

Wiadomość o śmierci syna położyła kres życiu ojca.

Mały Józek jest wesoły, bawi się wiórami z trumien i mówi:

— Przyjdzie Józek, to zlobi klekotkę.

* * *

Dziś, gdy wszystko budzi się do życia, chodząc po wiejskim cmentarzu, przypomniałem sobie losy Staszka.

Oto ptaszek usiadł na ramieniu skromnego krzyża, ustawionego na jego mogile, nuci piosenkę i zda się, woła go do życia, które pokazało mu tylko swoje ciemne strony.

Nie wiem dlaczego, pomyślałem, stała się mu tak wielka krzywda. Może byłby tu na ziemi przy swoich zdolnościach zdobył stanowisko i stał się użytecznym dla społeczeństwa.

A może i lepiej?

Piotr Czerep.

Archimedes kombinujący...

— Czy wiecie, kto napisał najstarsze ze znanych nam dzieł matematycznych? Niejaki Ahmes, kapłan egipski, ktróy żył między 2000 i 1700 r. przed Chrystusem i ułożył rodzaj podręcznika sztuki matematycznej.

— Idea czwartego wymiaru została zastosowana w geometrji przez matematyka niemieckiego, Hermana Minkowskiego z Getyngi (um. 1909 r.), który oparłszy się na teorji względności Einsteina, utworzył własny systemat czterowymiarowy, nazwany „Światem"; umieścił on mianowicie w kartezjańskiej trójwymiarowej przestrzeni o 3 współrzędnych czwartą współrzędną — czasu (który wobec tego

został uzależniony od położenia brył w przestrzeni). Współrzędna czasu, która otrzymała nazwę „linji światowej", mieści się gdzieś w sferze czwartego wymiaru i naturalnie dostrzec jej nie możemy...

— Każdy młody matematyk myśli, kombinuje i nieraz powstają w nim tak piękne ideje, że kiedyś odpowiednio przekształcone i sformułowane, mogą go wsławić, ale — niech pamięta on zawsze to, co o tem powiedział wspomniany H. Minkowski: „Każdy szeregowiec matematyczny niesie laskę marszałkowską w ładownicy, jeżeli nie przysięga z samej tylko dyscypliny na wszytsko, co istnieje".

— Ciekawy jest t. zw. „problem czterech barw" w topologji, jednym z działów geometrji. W zagadnieniu tem chodzi o to, czy cztery barwy są zawsze wystarczające do pokolorowania każdej części płaszczyzny, pokrajanej na jakąkolwiek ilość drobniejszych płatków; trzeba jednak kolorować tak, aby każda część różniła się barwą od sąsiedniej. Jak myślicie?

— Opowiada się setki anegdot na temat roztargnienia Newtona, czemu się zresztą wcale nie dziwię: wszak to był matematyk i fizyk, a więc obok poety najbardziej typowy marzyciel... Zdarzyło mu się raz, że napisał do swojego przyjaciela list, w którym zapytywał, czy przypadkiem nie u niego pozostawił swój zegarek i — zaopatrzywszy list w dopisek: „Dopiero co zegarek się znalazł; proszę Cię więc, nie szukaj go u siebie" — wysłał. (Panie Czerep, chyba nie był to ten sam zegarek, co to gotował się „na twardo" we wrzątku, podczas gdy Newton patrzał z powagą w jaja? — Zecer).

St. Pezda (kl. Va).

Wisłą do Tarnobrzega.

(Wrażenia z ostatniej wycieczki).

W ostatnią niedzielę zeszłorocznych wakacyj grupa studentów mieleckiego gimnazjum, do której i ja należałem, urządziła sobie małą wycieczkę łodziami Wisłą do Tarnobrzega.

Wszyscy zebrali się wcześnie, bo o godzinie 4 rano nad brzegiem Wisły, przy ujściu Wisłoki. Po kilkunastu minutach wycieczka wyruszyła w drogę. Łódki sunęły spokonie, niby łabędzi epo stawie, tylko szelest wioseł, w takt bijących lśniącą toń, zdradzał jakiś ruch w ten wczesny letni ranek.

Pogoda był prześliczna; na niebie migotały jeszcze gwiazdy; gdzieś nisko na zachodniej stronie widnokręgu przeświecał blady sierp księżyca.

W powietrzu panowała zupełna cisza, przerywana od czasu do

czasu słodkiem kwileniem ukrytego gdzieś w gąszczy słowika. Na drzewach nie drgnął ani jeden listek.

W pewnej chwili od wschodniej strony niebo zaczęło powoli różowieć. Co za cudny widok roztoczył się przed naszemi oczyma, kiedy niby z wód gdzieś daleko, daleko na horyzoncie wyłonił się wielki, jak koło od wozu, krąg słońca i pierwsze promienie ozłociły cały świat, całą przyrodę i zbudziły ptaszki z błogiego snu. Wnet też dały się słyszeć głosy czajek i dzikich kaczek, kryjących się gdzieś w gęsto obrośniętych stawach, a hen w górze zanosił błaganie przed Tron Stwórcy skowronek. Okolica lśniła się od rosy, którą teraz ozłociły promienie słoneczne. Zwolna słońce zaczęło się wznosić coraz wyżej i wyżej. Płynęliśmy spokojnie przy dźwiękach gitary i mandolin. Po paru godzinach dał się nam odczuć upał; nie zważaliśmy jednak na to wcale, ale wesoło żeglowaliśmy dalej. Około godziny 11 cała wycieczka wylądowała w Baranowie, aby odpocząć i zwiedzić starodawny zamek. Zabawiliśmy tu dobre parę godzin. Późno już po południu wybraliśmy się w dalszą drogę. Nad samym wieczorem ujrzeliśmy zdala słynny klasztor Dzikowski, którego pozłacana kopuła świeciła blaskami zachodzącego słońca. Mrok już zapadał, kiedy wysiedliśmy z łodzi i rozkładaliśmy się obozem w lesie. Las szumiał złowrogo, budząc w nas jakiś niesamowity lęk. Nastrój ten potęgowały jeszcze krakania wron, krążących nisko nad lasem. Wnet jednak wszystko uspokoiło się i jakby wraz z ludźmi zapadło w sen. Od czasu do czasu suchy trzask spadających gałęzi przerywał na chwilę niczem niezamąconą ciszę.

Noc spędziliśmy szczęśliwie. Następnego dnia tą samą drogą powróciła cała drużyna do domu.

Franciszek Czasowy (kl. VIb).

Uczył Marcin Marcina......

Tadeusz Majster, uczeń 6 klasy gimnazjalnej, w poczuciu swej wyższości, podaje rękę sztubakowi Adamowi.

Czternastoletni chłopczyna w szarem ubraniu, rumiany, o niskiem czole i włosach „na jeża", składa ukłon głową i idzie do szafy po książki. Rozpoczyna się lekcja.

Zgodnie z umową, zawartą z ojcem Adama, Majster ma poświęcić malcowi codziennie dwie godziny za 30 złotych miesięcznie. Przysposabia go do piątej klasy gimnazjalnej. W roku zeszłym przygotowywał go do czwartej klasy, ale Adam padł przy egzaminie.

— A więc... — zaczyna Majster, zapalając papierosa — zadana czwarta deklincja. Proszę odmieniać f r u c t u s!

Adam zaczyna deklinować.

— Adam znowu lekcji nie odrobił! — mówi Majster, wstając. — Po raz szósty zadaję czwartą deklinację, a Adam ani w ząb! Kiedy wreszcie weźmiesz się do roboty?!

— Znów nie odrobił lekcji...? — rozlega się za drzwiami kaszlący głos i do pokoju wchodzi tatuś Adama, dymisjowany urzędnik pocztowy — znowu? Daczego nie nauczyłeś się? Ty... kundlu jeden! Czy pan uwierzy, panie Majster, wczoraj mu znowu skórę garbowałem!

Ciężko westchnąwszy, siada tatuś obok syna i zagląda w podartego Lewickiego. Majster zaczyna przesłuchiwać Adama przy ojcu. Niech się dowie ten ograniczony człeczyna, jakiego ma głupiego synalka. Gimnazjalista wpada w szał egzaminatorski. Następuje chwila, w której całem jestestwem swojem odczuwa nienawiść i pogardę do małego, rumianego, zakutego łba — gotów jest go obić. Jest mu nawet nieprzyjemnie, kiedy chłopak odpowiada do rzeczy — taką antypatię powziął do Adama! — Adam nie umie nawet drugiej deklinacji! Nie zna też pierwszej! Ot, jak się uczy! Proszę mi powiedzieć, jak będzie wołacz od meus filius?

— Od meus filius? Meus filius — będzie... to będzie... Tu Adam długo spogląda w sufit, jeszcze dłużej porusza wargami, ale odpowiedzi nie daje.

— A jak będzie celownik od dea?

— Deabus... filiabus! — deklamuje Adam.

Ojcie jego kiwa głową potakująco. Korepetytor, który nie oczekiwał poprawnej odpowiedzi, odczuwa przykrość.

— A jaki jeszcze rzeczownik ma w celowniku abus? — zapytuje.

Okazuje się, że również anima — dusza ma w celowniku abus, o czem Lewicki zresztą nie wspomina.

— Ta łacina to dźwięczny język! — wtrąca tatuś. — Alons... tron... bonus... antropos... filozofja! A wszystko to wszak potrzebne! mówi z westchnieniem.

— Przeszkadza mi wykładać... myśli Majster. Siedzi, jak kat nad dobrą duszą i dozoruje. Nie znoszę kontroli.

— A więc — zwraca się do Adama. — Z łaciny na przyszły raz to samo. A teraz arytmetyka. Proszę wziąć zeszyt. Jakie zadanie teraz idzie?

Adam pisze zadanie:

„Kupiec nabył 138 metrów czarnego i niebieskiego sukna za 5400 zł. Należy się dowiedzieć, ile metrów kupił z każdegi gatunku, jeżeli metr sukna niebieskiego kosztował 50 zł., a czarnego 30 zł."

— Proszę powtórzyć zadanie.

Adam powtarza zadanie i, nie mówiąc już ani słowa, zaczyna dzielić 5400 przez 138.

— Poco to Adam robi? Proszę poczekać... Zresztą dobrze... niech dzieli dalej. Reszta jest? Tu nie może być reszty. Zaraz, ja sam podzielę.

Majster dzieli, otrzymuje 3 z resztą i prędkościera.

„Dziwne"... myśli on, wodząc palcami po włosach i rumieniąc się. — Jakże je rozwiązać? Hm!... To jest zadanie na równanie nie określone, a wcale nie arytmetyczne.

Nauczyciel zagląda do odpowiedzi i widzi 75 i 63.

— Hm!... ciekawe... Dodać 5 do 3, a następnie dzielić przez 8? Czyżby tak? Nie, to nie to!... — Niech Adam rozwiązuje!

Zwraca się do pupila.

— Nad czem się zastanawiasz? Zadanie proste jak świeca! — mówi ojciec do syna. — Ale to z ciebie osioł — bracie! Niech mu już pan rozwiąże, panie Majster.

Majster bierze ołówek do ręki i zaczyna rozwiązywać. Jąka się, czerwieni, blednie...

— To jest zadanie... właściwie mówiąc, algebraiczne — stwierdza z naciskiem. — Z iksem i ygrekiem rozwiązać je można. Zresztą można tak też rozwiązać. Otóż rozdzieliłem... Adam rozumie? Teraz oto trzeba odjąć... zrozumiano? Albo zresztą... niech mi Adam rozwiąże to zadanie samodzielnie na jutro.

Adam uśmiecha się złośliwie, uśmiecha się również tatuś. Obaj rozumieją zmieszanie nauczyciela. Uczeń szóstej klasy jeszcze bardziej się miesza, wstaje i zaczyna chodzić z kąta do kąta.

— I bez algebry można rozwiązać — cedzi przez zęby były urzędnik pocztowy i wzdychając, wyciąga rękę do liczydeł. — Bądź pan łaskaw zobaczyć...

Zaczyna przytykać na liczydłach i otrzymuje 75 i 63, jak należało.

— Oto... po naszemu, po prostacku, nieprawdaż.

Z drżeniem serca Majster spogląda na zegarek i widzi, że do końca lekcji pozostaje jeszcze godzina i kwadrans, cała wieczność!

— A teraz dyktando.

Po dyktandzie — geografja, po geografji — religja, następnie język polski, — dużo mamy na tym świecie różnych nauk! Ale nareszcie kończy się dwugodzinna lekcja. Majster bierze czapkę, wyniośle podaje Adamowi rękę i żegna się ze starym.

— Czy nie mógłby mi pan dać nieco pieniędzy? — pyta nieśmiało. — Jutro muszę opłacić wpis. Pan winien mi już za sześć miesięcy.

— Ja? Ach, tak, tak... — mruczy stary, nie patrząc na Majstra. — Z przyjemnością! Tylko teraz nie mam, dam panu za tydzień, lub za dwa...

Majster zgadza się i włożywszy swe ciężkie brudne kalosze, idzie na następną lekcję.

Kronika.

Echa pobytu w naszym Zakładzie p. Dra Fr. Ilesic'a, prof. uniw. w Zagrzebiu.

Wtorek 24 września 1929. Pierwsza godzina. Jeden z naszych siódmaków biedzi się, tłumacząc jakieś zdanie z łaciny. Nagle wytężoną pracę jego mózgownicy przerywa dzwonek. Dzwonek w połowie lekcji? Co to się znaczy?

Profesor objaśnia nas, że zaraz mamy się udać do sali gimnastycznej, ale poco — nie mówi.

Pędzimy więc wszyscy na złamanie karku i po drodze zachodzimy w głowę, co tam się stać mogło.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy na scenę wraz z p. Dyrektorem, wchodzi średniego wzrostu, czarno ubrany pan, jak się później dowiedzieliśmy, prof. uniw. w Zagrzebiu, Dr F. Ilesic.

Twarz i całe jego zachowanie się wywarło na mnie jakieś dziwnie miłe wrażenie.

Pan ten zaczął nam opowiadać o swym kraju. I mówił z takim patosem i przejęciem, że z łatwością powiódł myśl naszą tam — hen, na południe, do słonecznego królestwa Jugosławji. Przez chwilę byliśmy wraz z nim świadkami politycznych i społecznych przemian dziejowych w państwie Serbów, Horwatów i Słoweńców. Później roztoczył przed oczyma naszej wyobraźni czarowną panoramę swego kraju i morza. Zamajaczyły nam w oddali te śnieżnobiałe domki, ożywione czerwienią dachów, otoczone zielonością winnic, które rozsiane wzdłuż wybrzeża, zdawały się szukać odbicia w lazurowej tafli Adrjatyku.

Końcową część swego przemówienia Dostojny nasz Gość poświęcił Polsce tej drugiej jego ojczyźnie, którą też umiłował i ukochał.

Ze słów jego można było wywnioskować, że nie pierwszy raz (i daj Boże, nie ostatni) bawi u nas, że zna zarówno teraźniejszość, jak i przeszłość dziejową naszego narodu.

My, studenci, możemy być dumni z odwiedzin tak Szanownego Gościa; niemniej też jesteśmy Mu wdzięczni za tych parę chwil, które zechciał nam poświęcić przed swym odjazdem.

Pod wrażeniem jego przemówienia pokochaliśmy Jugosławię i od owego pamiętnego dnia postanowiliśmy więcej zajmować się sprawami bratniego nam narodu. Jak niema Słowiańszczyzny bez Polski, tak też i niema Słowiańszczyzny bez Jugosławji.

A więc: Niech żyje Najjaśniejsze Królestwo Jugosławji i jej dostojny przedstawiciel prof. Fr. Ilesic!

Niech żyje!

Napisał: **X + Y.**

To, co warto i trzeba czytać.

Nakładem Książnicy-Atlas (kwiecień 1929) wyszła skromna książeczka p. t. **„Polska w cyfrach"**, opracowana przez **J. Wąsowicza i A. Zierhoffera.** Są to cyfry takie oficjalne, napozór suche i nudne, statystyczne cyfry. Mają one jednak potężną i żywą wymowę faktów pozytywnych, realnych. Stwierdzają niedomagania i braki w życiu kulturalnem i gospodarczem Polski, ale wołają także radośnie, że potrafiliśmy sprostać trudnym zadaniom życia państwowego, potrafiliśmy „słowo w czyn zamienić". Weźmy np. taką Gdynię. Gdy w r. 1925 wpłynęło do portu 85 okrętów z ładunkiem 1586 tonn, to w r. 1928 przybiło do mola gdyńskiego już 1103 statków o 200.749 tonnach ładunku. Polepszenie bytu gospodarczego Polski znalazło wyraz w cyfrze dochodów państw.: w r. 1921 zaledwie 343 miljonów złotych, w r. 1928/9 już 2655 miljonów. — A postęp oświaty! Przed wojną do szkół uczęszczało 50% dzieci w wieku szkolnym, dzisiaj 93%; posiadamy 26.476 szkół powsz., 796 szkół średnich, 204 seminarjów naucz., 19 szkół wyższych (dane z lat 1926—28) i t. d. Sumienne przestudjowanie i przemyślenie tych statystycznych wykazów przyniesie każdemu bezsprzeczną korzyść. **S. K.**

Szarada z 1846 r.

BIBLIOTHECA JAGELLONICA

Drugie z **pierwszem** trzecie,
Trzecie z **pierwszem** — wiecie;
A więc **wszystko zgadniecie.** (Wypisał P. Cz.).

Odpowiedzi Redakcji.

Kol. W. B. — Niestety, nie możemy umieścić; słabe i w treści i w wykonaniu. Zrażać się jednak nie trzeba, bo talent może się jeszcze wyrobić. Prosimy o inne próby literackie.

P. Roman Grz. (Lwów). — Dziękujemy za życzliwość i słowa zachęty.

Wesoły kącik.

Na lekcji muzyki.

Nauczyciel: Icek! Co to jest bombardon?
Icek: Nu... to jest taka... taka trąba...
Nauczyciel: No! jakaż?
Icek: Nu... taka duża jak pan profesor.

TREŚĆ N-ru TRZECIEGO.

		Str.
1.	Paganini	1
2.	Słowo o regjonaliźmie	1
3.	Obóz zlotu harcerskiego w Poznaniu . .	4
4.	Śląsk i Ślązacy (dokończenie)	6
5.	Kolejarz	8
6.	Archimedes kombinujący	10
7.	Wisłą do Tarnobrzega	11
8.	Uczył Marcin Marcina	12
9.	Kronika	15
10.	To co warto i trzeba czytać	16
11.	Szarada	16
12.	Odpowiedzi Redakcji	16
13.	Wesoły kącik	16

WYDAWCA PAŃSTW. GIMNAZJUM IM. ST. KONARSKIEGO W MIELCU

Redaktor odp.: Kurator Czytelni Prof. Zawadzki.
Na czele Komitetu Red. stoją: Tadeusz Illukiewicz i Adamus Eugenjusz.

Prenumerata: Kwartalnie 1 zł, półrocznie 1·60 zł, rocznie 3·40 zł.
Ogłoszenia jednorazowo 3 zł, półrocznie 15 zł, rocznie 25 zł.